

Paweł Kunigis. Dwadzieścia lat „Balagane”.

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)



*

Paweł (Paul) Kunigis – muzyk, piosenkarz, pianista samouk, kilka lat temu udzielił wywiadu dla magazynu „Culture Avenue” opowiadając o swojej karierze muzycznej, jak również o skomplikowanej tożsamości polsko-żydowsko-kanadyjskiej będącej źródłem inspiracji dla jego muzyki i tekstów. Aktualnie artysta pracuje nad publikacją książkową poświęconą płycie „Balagane”- nagranej w 2002 roku z zespołem „Jeszcze raz”. Rok po ukazaniu się płyta otrzymała kanadyjską nagrodę JUNO w kategorii Muzyka Świata, a w 2023 roku minie 20 lat od tego wydarzenia, które pozwoliło Kunigisowi i „Jeszcze raz” rozwinąć muzyczne skrzydła na wielu scenach Kanady, Francji, Polski i

Szwajcarii.

Zespół „Jeszcze raz” znany był od połowy lat 90. w Quebecu ze swoich nastrojowych piosenek, śpiewanych przez Kunigisa po polsku, hebrajsku, arabsku i francusku do porywającej muzyki będącej mieszanką bluesa, klezmer music, rytmów orientalnych Bliskiego Wschodu, jazzu i gospel. To niezwykle połączenie muzyczne porywało publiczność na koncertach, budowało magię muzycznej podróży przez różne kultury i emocje. Już płyta „Pamiętam” była odwołaniem się Pawła Kunigisa do przeżyć osobistych, sięgnęła do tego pamiętnika emocjonalnego, który pisze się w naszej duszy, sercu, myślach. Entuzjastyczne przyjęcie utworów z płyty „Pamiętam”- melancholijnych, nastrojowych piosenek śpiewanych Kanadyjczykom po polsku, pozwoliło Kunigisowi na płycie „Balagane” sięgnąć jeszcze głębiej do zasobów emocji i pamięci.

Miłość do matki, wojna, śmierć, samotność, poszukiwanie tożsamości – to tematyka utworów: Czarna kawa, Mamaleh, Shequette, Yahayouni, Zimbergaya, które stały się przebojami śpiewanymi przez publiczność na koncertach, utworami zaadaptowanymi przez zespoły muzyczne z Norwegii, Danii, Polski. Każdy utwór daje pole do popisu muzykom-wirtuozom skrzypiec, akordeonu, klarnetu, kontrabasu, perkusji. Długie improwizacje muzyczne kształtują nastrój, wyzwalają emocje, w magiczny sposób łączą smutne rytmy z radosnymi. Ta

wirtuozowska muzyka świata dociera do słuchacza o różnorodnych korzeniach kulturowych i porywa każdego kto jej słucha.

Paweł Kunigis po dwudziestu latach chce podsumować swoje lata spędzone z „Balaganem”. Przez lata koncertowania w różnych krajach zebrało się obszerne archiwum recenzji prasowych, zdjęć, listów z podziękowaniami, plakatów. Z tego zbioru ma powstać książka wspomnień opowiadająca o muzykach, o historii powstawania tekstów i muzyki, wspominająca anegdoty z koncertów i spotkania z publicznością. Ważnym dopełnieniem publikacji będą nuty i teksty piosenek, co pozwoli profesjonalistom i amatorom zapoznać się z warsztatem muzyczno-tekstowym Kunigisa.

Paweł (Paul) Kunigis, obywatel świata o polskich korzeniach, swoim życiem i twórczością dowodzi, że wymagająca lekcja samodzielności i zaradności, jaką było jego polsko-izraelskie dzieciństwo i kanadyjskie początki od zera, stały się skarbnicą jego twórczości, z której czerpie siły i inspiracje.

Cadyk Menachem Mendel z Kocka nauczał : „Istnieją trzy sposoby radzenia sobie ze smutkiem – można płakać, można milczeć, można przemienić smutek w pieśń”. Paweł Kunigis wybrał pieśń.



Zobacz też:

Paweł Kunigis. Moje życie to wielki bałagan.

Wojna – Poezja –
Dyplomacja.
Nieznana poetka –
Wanda Babińska.



Wanda Babińska

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Druga wojna światowa burząc istniejący porządek świata, poplątała losy tych którzy przeżyli. Z przeszłości, jak z jaskini Ali Baby, ciągle wyłaniają się opowieści o ludziach wyjątkowych, nietuzinkowych, których życia dopełniają naszą wiedzę o czasie utraconym.

Gdyby została w Polsce, niewątpliwie stałaby się znana w kręgach literackich, tymczasem wojna zastała Wandę Babińską w

Hadze, gdzie jej ojciec, Wacław Babiński był posłem RP w Królestwie Holandii. Bieg wojny uczynił z niej emigrantkę tęskniącą za ojczyzną, której nigdy już miała nie ujrzeć. W „Poemacie wiosennym” wzdycha do polskiej wiosny:

Jakże ja mam wyrazić i oddać słowami

To uczucie, gdy drzewa szumią pod oknami.

Nie tutaj, ale w kraju.

W wierszu „Mój ojciec” buduje portret ojca, smutnego emigranta:

Przez całe swe życie marzył, że może kiedyś w końcu

Przyjedzie na stałe do Polski, gdzieś na wsi odpocząć w słońcu.

A teraz, teraz tak długo chodzi po gabinecie

Mój ojciec, który ma oczy najsmutniejsze na świecie.

Urodzona w maju 1917 roku w Warszawie, w rodzinie inteligencko-szlacheckiej herbu Bojczy, Wanda Babińska wychowywana była na damę, kobietę światową, ozdobę elit dyplomatyczno-artystycznych. Po ukończeniu prywatnej szkoły sióstr zakonnych Sacre Coeur pod Poznaniem, w 1935 roku uczęszczała w Cambridge do szkoły panien z dobrych domów – English Finishing School. Była piękną, świadomą swego uroku kobietą. Miała osobowość aktorki reżyserującej życie swoje i innych. Odważna, walcząca o siebie, nieprzewidywalna i nierzadko ekstrawagancka, pasuje bardziej do dzisiejszych czasów. Poezja towarzyszyła jej od wczesnych lat życia. Ojciec i lektury czytane przez niego, ukształtowały w niej romantyczną, patriotyczną duszę. Pisała wiersze z niebywałą łatwością i lekkością, zindywidualizowanym językiem tworząc swój pamiętnik poetycki. W wierszach miłosnych, nastrojem i metaforą czerpiących z poetyki młodopolskiej, opisywała emocjonalne wzloty i cierpienia. Wiersze patriotyczne, które pojawiły się po wybuchu wojny, przepełnione miłością do ojczyzny, odwołują się do symboliki historycznej, tchną duchem romantyzmu.

Granatów pękających huk i poświst spadającej bomby.

Słyszysz li bracie złoty róg, czy grzmienie jerychońskiej trąby?

Szumi ci w uszach – za Lwów, za Lwów – padasz w szeregu
wśród Anglików.

Nie żal ci życia, żal Ci snów, co pogrzebane są w Narwiku.

Dorobek poetycki Wandy Babińskiej nigdy nie został opublikowany. Gdy zmarła w Rzymie, w 1993 roku, walizka z jej dokumentami, zdjęciami, wycinkami z gazet i wierszami zapisanymi na pożółkłych kartkach, trafiła do Montrealu, do jej bratowej, Haliny Babińskiej. Od tej pory Wanda nie dawała spokoju Halinie. Była obecna w jej wspomnieniach, przypominała się przy różnych okazjach, opowieści o Wandzie i jej szaleństwach ubarwiały rozmowy towarzyskie toczone przy okazji spotkań w salonie Haliny. Młoda, piękna, żyjąca na nieustannie zmiennej amplitudzie emocji, zaręczała się i zrywała zaręczyny, wychodziła za mąż, by po kilku miesiącach uciec od męża, zakochiwała się nieustannie i opisywała ten stan w wierszach:

Wszystko we mnie gra i śpiewa

A za oknem kwitną drzewa

Złotym blaskiem słońce pięści pomarańcze.

Nocą niebo jest iskrzące i mrugają gwiazd tysiące.

A na wodzie srebrny promień lekko tańczy.

Cały świat się zgubił w dźwiękach - na klawiszach Twoja ręka.

Miłość Ciebie na mych oczach położyła.

Co mam robić z tą przekłętą - taką złą, a taką świętą?

W 1940 roku, dwudziestotrzyletnia Wanda przypłynęła polskim transatlantykiem „Batory” do Kanady. Bezdomna, jak wszyscy rozbitkowie wojenni, powoli i dzielnie zaczęła budować swoje nowe życie. Podjęła współpracę z prasą polską na wychodźstwie, publikując patriotyczne wiersze w londyńskim „Dzienniku Polskim” i „Tygodniku Polskim” w Nowym Jorku. Zaczęła pisać do gazet kanadyjskich: „Canadian Life” i „Monitor”, w którym miała swoją rubrykę „Wondering with Wanda”. W okresie, gdy mieszkała w Toronto, prowadziła swój program radiowy w radiu polonijnym. W Montrealu, w którym mieszkała najdłużej, przygotowywała bale, recytowała na akademiach patriotycznych, udzielała się w artystycznym i towarzyskim życiu polskim i kanadyjskim. W smutkach życia pocieszały ją wiersze:

Rozdawaj uśmiech niby kwiat wśród życia smutnej drogi.

A piękny wyda Ci się świat. Rozdawaj uśmiech niby kwiat.

Lata 40. i 50. to czas intensywnej, dojrzałej ekspresji poetyckiej. O ile wiersze miłosne pisane były do szuflady, to niektóre wiersze patriotyczne, wysłane do polskich gazet, przyniosły jej pochwały i zachwyty Kazimierza Wierzyńskiego i Jana Lechonia. Ten ostatni pasował ją na poetkę nazywając „naszą Safoną”. W 1963 roku, narzekając na niekończące się zimy kanadyjskie, Wanda opuszcza Kanadę oraz swego drugiego męża. Wyjeżdża do Rzymu i pisze wiersz „Pożegnanie rymów”:

Rymy mojej młodości, rymy me dziecinne

Wyskakujące łatwo z mej zapalonej głowy...

Z wami się dzisiaj żegnam. Tak, jak z przyjacielem

Z którym razem się rośnie, marzy, snuje plany.

Z przyjacielem, któremu zawdzięcza się wiele

Chwil szczęśliwych i bliskich. Który był kochany.

W codziennym kieracie zajęć związanych z troską o życie
tułacze –

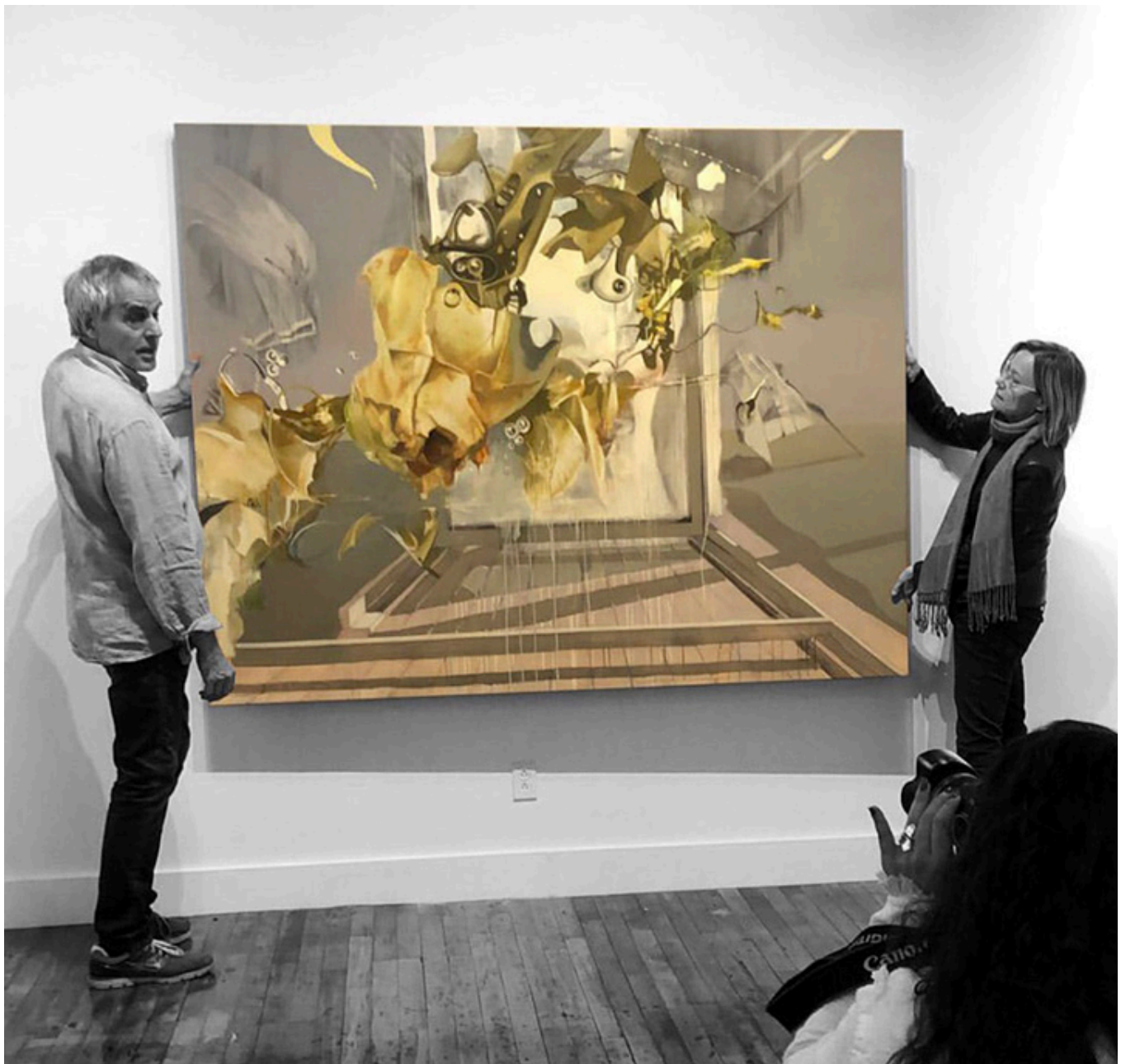
Odeszłyście.

Proza życia wyparła poezję, duch poezji, który rodził się w olśnieniu i radości, posmutniał z czasem. W Rzymie Wanda pisze felietony „Piórem kapitolinśkiej gęsi” ukazujące się w polonijnej prasie i przeżywa spokojną, słoneczną jesień życia u boku trzeciego męża. Wiersze jej, jak motyle przekłute szpilką, zamknięte w walizce, powoli tracą barwy. Ten pamiętnik poetycki opowiadający o nietuzinkowej kobiecie, jest zarazem portretem osoby niezależnej, która chciała stanowić o sobie, ale trudno jej było się przebić przez stereotypowo wyznaczone role. Wydanie wierszy Wandy Babińskiej dopełniłoby jej życie i wzbogaciłoby literackie dziedzictwo polonii kanadyjskiej.



Przygotowania do spotkania poświęconego Wandzie Babińskiej w Konsulacie Generalnym RP w Montrealu, 6 lutego 2020 r. Od prawej: Halina Babińska (bratowa Wandy Babińskiej), dr Katarzyna Szrodt (prowadząca spotkanie) i aktorka Liliana Komorowska (recytująca wiersze poetki)

Irena Chrul. Ciągłe w drodze.



Artystka i jej mąż Marc Hébert w trakcie przygotowywania wystawy, obraz „W hołdzie Kay Sage”

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Nad Kapuletich i Montekich domem

Splukane deszczem, poruszone gromem

Łagodne oko błękitu.

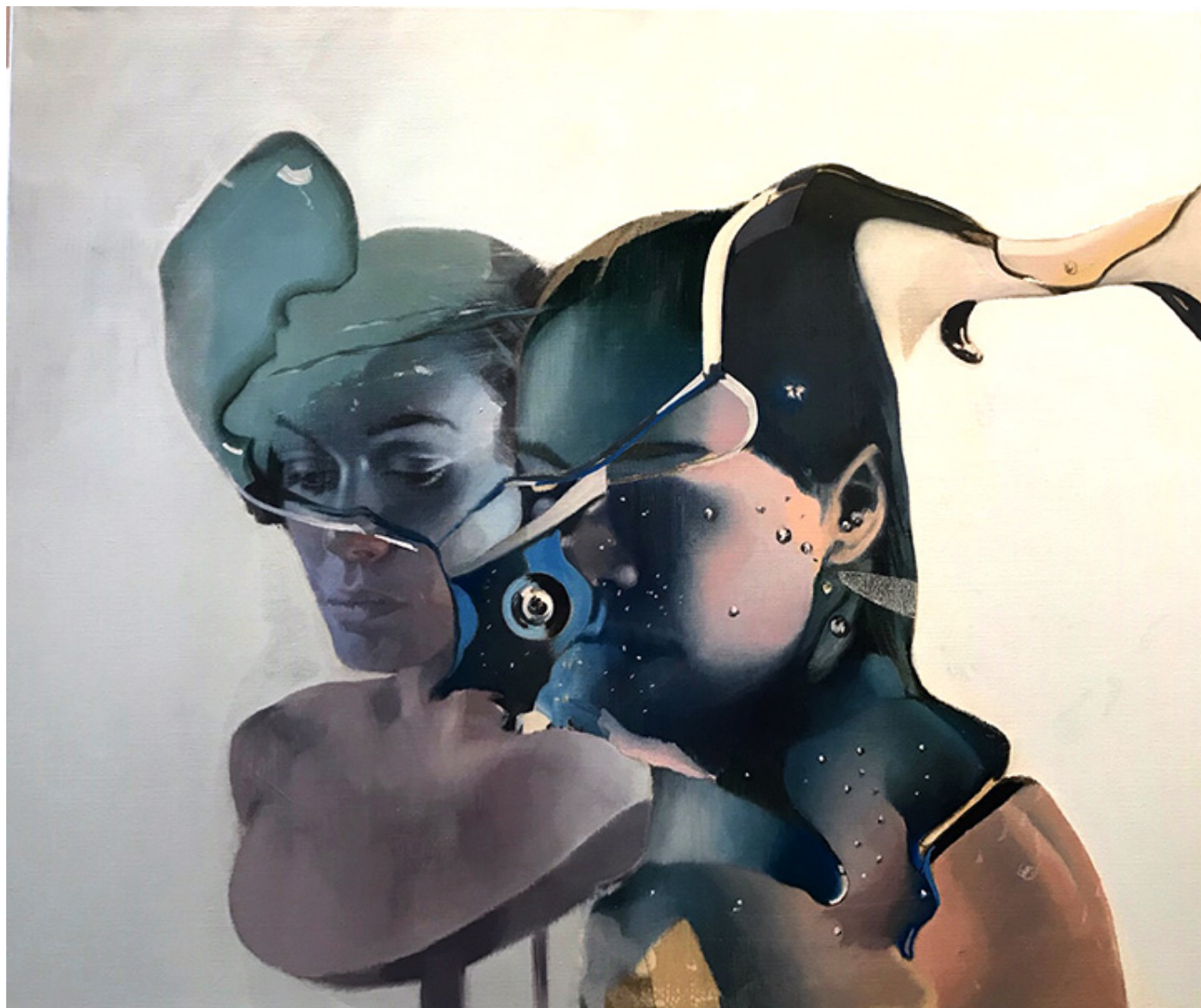
Patrzy na gruzy nieprzyjaznych grodów

Na nieprzyjazne bramy do ogrodów

I gwiazdę im zrzuca ze szczytu...

(„W Weronie”, C.K. Norwid)

Zachwyciło mnie jej malarstwo. Poetyckie, teatralne, narracyjne, operujące symbolami, konstruujące i dekonstruujące wyimaginowane światy wyczarowane z dziejów kultury europejskiej. Coś powstaje w chaosie spienionych tkanin – to stopa, ręka, Wenus rodzącej się z piany morskiej, na obrazie „Venus”. Greckie posągi żyją na nowo. Są piękne, pięknem walczącym ze zniszczeniem. Przezroczyste chusty, rozwiane welony, rozwijające się bandaże, spiętrzone tkaniny, nadają ruch obrazom i budują dramatyzm przedstawianych przez malarkę historii.



Irena Chrul, bez tytułu, olej na płótnie, 2019 r.

Kobiety na portretach Ireny Chrul są nierealne, wyłaniają się ze świata snu, marzeń, teatru. Przypominają mroczne bohaterki sztuk Becketta, Ibsena czy Strindberga, żyjące swoim światem, tajemnicze i nieobecne. Z serii „Ospiti”, którą artystka pokazała na wystawie w Abu Dhabi, w 2011 roku, podczas jednego wieczoru sprzedane zostały prawie wszystkie obrazy. Seria była opowieścią o różnych fazach życia kobiety – postać jak fantom, jedynie zasugerowana przez suknie lub fragmenty ciała, siedziała na zabytkowym fotelu, jako zalotna baletnica, prowokująca

kochanka, stateczna matrona z psem na kolanach, umierająca staruszka. Artystka-medium wyjmując ze skarbnicy kultury obrazy zaginionego świata, który przestał istnieć – Pompeje zasypane przez lawę Wezuwiusza, mieszkańców zatopionej Atlantydy, kochanków z Werony pochowanych w grobowcach Capuletych i Montecchich i z tych fragmentów buduje narrację swoich prac. Inspirująco wpłynęło na nią malarstwo Akademii Bolońskiej (Accademia Carracci działająca do 1620 roku). Według Agostina Carracciego malarz powinien w swoich dziełach przejawiać potęgę Michała Anioła, natchnienie Tycjana, czystość Correggia, harmonię Rafaela, poprawność Tibaldiego, inwencję Primaticcia i wdzięk Parmigiana – jednak kultura artystyczna nie powinna przeszkadzać w obserwacji życia codziennego. I tak też jest w przypadku obrazów Ireny Chrul – przy wykorzystywaniu sztafazu dziedzictwa kultury europejskiej artystka uwrażliwiona jest na współczesność, a sztuka jej posługuje się nowoczesnymi technikami malarskimi.



„Nuansy ziemi” z serii „Ospiti”, olej na płótnie, 2014 r.

Irena Chrul od siedmiu lat mieszka w Montrealu. Nie przyzwyczaiła się do tego miasta, nie czuje się dobrze w krainie długich zim, ale to właśnie tutaj odpoczywa po wędrówce, jaką było, i ciągle jest, jej twórcze życie. Po ukończeniu w 1980 roku Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu (obecnie Uniwersytet Artystyczny) i zrealizowaniu kostiumów do czternastu sztuk dla różnych teatrów i oper, w 1982 roku wyjechała do Hamburga. Ze swoim ówczesnym mężem,

scenografem Sławomirem Dęboshem, przez dwadzieścia lat prowadzili agencję reklamowo-multimedialną „Debosz&Debosz Creative Team”. Przez cały czas była wierna malarstwu i miała w Niemczech ceniących jej twórczość kolekcjonerów. W 2002 roku wyjechała do mekki malarzy, do Nowego Jorku. Tutaj miała wystawę indywidualną w East Village Gallery. Po kilku miesiącach znalazła się w Montrealu. Prowadziła tu przez chwilę Open Studio, w 2004 roku miała wystawę indywidualną w Atelier Oasis, poznała swego obecnego męża, z którym na siedem lat wyjechali do Toskanii i zamieszkali w Lucca. Ta artystyczna odyseja niewątpliwie wpłynęła na twórczość, szczególnie inspirujące było obcowanie z krajobrazem i pięknem włoskich zabytków, ale, jak sama artystka przyznaje, bliskie jej jest także brutalne malarstwo angielskiej malarki-feministki, przedstawicielki Young British Artists – Jenny Saville. Cykl prac „Les Roses sont Rouges” Chrul zadedykowała artystkom, które popełniły samobójstwo, m.in.: Sarah Kane, Sylvia Plath, Kaye Sage, Francesca Woodman:

Portrety to osoby, a zarazem symbole emocji: pragnienie, nostalgia, wstyd, strach. One stają się na obrazach w czasie seansów malarskich.

Prace artystki znalazły się w kolekcjach prywatnych w Niemczech, Szwajcarii, we Włoszech, w kolekcji rządowej w Abu

Dhabi, w Emiratach Arabskich, w San Francisco i Waszyngtonie.



Irena Chrul, „Venus”, olej na płótnie, 2015 r.

Montreal'skie atelier Ireny Chrul wypełniają obrazy. Jeszcze niektóre musi skończyć. Pracuje zawsze nad kilkoma na raz. Już niedługo wszystkie będą skończone i będzie mogła zaprosić gości na wernisaż. Słuchając opowieści o tej artystycznej wędrownicy po świecie, w którym artystka czuje się zarówno wszędzie u siebie,

jak i wszędzie bezdomna, nagle zaczęłam namawiać ją na wystawę w Polsce, żeby pokazała polskiej publiczności obrazy-opowieści, które wyrosły również z najlepszych tradycji polskiego malarstwa, teatru i scenografii.

Powieść Ewy Stachniak „Konieczne kłamstwa” po polsku

Rozmowy o książkach, które nie przemijają.

„Konieczne kłamstwa” (*Necessary Lies*) to powieść o stracie osobistej i narodowej, o zdradzie i potrzebie przebaczenia, o najnowszej historii – wojennej i powojennej. Powieść o powrotach do korzeni, trudnych i bolesnych – ale koniecznych, jeśli przeszłość ma nie być tylko niepotrzebnym balastem, lecz stać się kluczem do poznania i zrozumienia nas samych. Jest to historia Wrocławia, miasta z niemiecką przeszłością i polską

teraźniejszością oraz historia emigrantki znad Odry, która musi się zmierzyć ze skomplikowaną przeszłością swojego miasta. To pierwsza powieść Ewy Stachniak, uznana za najlepszy debiut powieściowy Kanady roku 2000: nagroda Amazon.com/Books in Canada First Novel Award. Autorka pisze po angielsku, dzięki czemu jej niezwykle poczytne książki opowiadające polską historię z różnych epok, szeroko docierają do angielskojęzycznego czytelnika.

Na podstawie: www.ewastachniak.com



Ewa Stachniak, fot. ewastachniak.com

Rozmowa z pisarką Ewą Stachniak i tłumaczką Katarzyną Bogucką-Krenz.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Polski czytelnik może już przeczytać po polsku powieść „Konieczne kłamstwa” nagrodzoną w 2000 roku przez Amazon.com/Books in Canada. Co to dla pani oznacza?

Ewa Stachniak:

Cieszę się, że książka ukazała się w Polsce i bardzo jestem ciekawa reakcji czytelników, recenzji, uwag. W powieści pisanej z pozycji emigracji, polski czytelnik zwróci uwagę na inne rzeczy niż czytelnik kanadyjski. „Konieczne kłamstwa” – na jednym z poziomów narracji – są przecież zapisem wrażeń powrotu do kraju, po latach emigracji, tego pierwszego powrotu, pierwszych wrażeń wędrowca, który konfrontuje zapamiętane obrazy z rzeczywistością, wędrowca, który patrzy na Polskę z pozycji swoich kanadyjskich, emigracyjnych doświadczeń. Czytelnik polski zobaczy bohaterkę powieści, Annę Nowicką, podobnie jak nasze rodziny i przyjaciele widzieli nas w tych pierwszych latach wolności, emigrantów przyjeżdżających po latach do rodzinnego domu.

Ciekawi mnie też jak wypadnie konfrontacja mojej książki z innymi współczesnymi polskimi powieściami, czy literatura kanadyjska wpłynęła w zauważalnym stopniu na mój sposób pisanie. Bo przecież język prowokuje różne skojarzenia.

Na czym polega odmiennność polskiej wersji powieści w

stosunku do angielskiego oryginału?

ES: W angielskiej wersji książka skierowana była do czytelnika, który o Polsce i jej historii ma mgliste pojęcie i któremu trzeba wpływ tej historii na polską rzeczywistość przybliżyć. Patrząc na Warszawę czy Wrocław w 1991 roku Anna widzi nie tylko teraźniejszość, ale także przeszłość tych miast, lata wojny, powstania, zgliszcza. We Wrocławiu widzi ślady niemieckiego Breslau, pamięta morze gruzów. Z takim bagażem jej spojrzenie na polskie realia jest zupełnie inne niż kogoś, kto o tej historii nie ma pojęcia. Zmiana perspektywy oznaczała cięcia i przekształcenia w tekście. Wiele fragmentów można było w polskim tekście pominąć, inne trzeba było przeredagować lub wręcz dopisać, by zachować autentyzm szczegółów i wiarygodność faktów. Kiedy cytuję fragment wrocławskiej ulotki z 1968 roku, którą Anna i Piotr trzymają w ręku, to chcę żeby to była jedna z autentycznych ulotek z Wrocławia, a nie np. z Warszawy. Angielskie słowo „communist” tłumaczy się inaczej w zależności do okresu historycznego w którym było użyte: w 1968 roku Piotr mówi o „partyjnych”, w 1881 roku Anna pamięta „komunistów”, a w 1991 roku jej brat używa słowa „komuch”. W wersji angielskiej rewolucję w Quebecu można było określić jednym zdaniem, polskiemu czytelnikowi trzeba było dodać kilka wyjaśnień. To były drobiazgi, choć oczywiście bardzo ważne. Problemem największym, ale i jednocześnie najbardziej ciekawym, stało się nadanie polskich głosów moim bohaterom.

Powieść rozpoczyna się w Montrealu, ale już po kilku zdaniach Anna wspomina swoją młodość, swój wyjazd z Wrocławia, pierwszą miłość – swoje polskie przeżycia. Kiedy pisałam te sceny po angielsku, polskie postacie musiały mówić językiem „opisowo-universальnym”, stworzonym dla nich w takim celu by czytelnik kanadyjski odczuł, że osoba, o której czyta, funkcjonuje w innym języku – czasami wtrącałam polskie słowa, by zachować koloryt głosów. W tłumaczeniu na język polski te zabiegi lingwistyczne straciły sens.

W budowaniu pełnych, polskich głosów najłatwiej było z postaciami, które w jakimś stopniu opierały się na wspomnieniach z przeszłości. „Słyszałam” jeszcze te głosy i mogłam zasugerować tłumaczce wybór konkretnych wyrażen. Babcia Anny mówi językiem mojej babci, którego specyficzne wyrażenia towarzyszą mi od dzieciństwa. Wprawdzie babcia Anny i moja babcia to dwie różne osoby, ale ich język to głos tego samego pokolenia. Także rodzicom Anny mogłam częściowo użyczyć języka pokolenia moich rodziców.

Najwięcej kłopotu sprawił mi Piotr, pierwszy mąż Anny. W moim polskim kręgu doświadczeń nie pojawiła się postać z jego rodowodem, nie mogłam więc czerpać z pamięci. Piotr Nowicki pochodzi z Krakowa, jest prawnikiem, brał udział w marcowych wydarzeniach 1968 roku we Wrocławiu, trzeba było mu stworzyć język, który charakteryzowałby i jego i jego pokolenie. To było

moje zadanie, nie mogłam go zrzucić na barki tłumaczki, nie mogłam powiedzieć – wymyśl głos dla Piotra. W rezultacie musiałam sceny z Piotrem prawie w całości przepisać, stworzyć na nowo jego polski głos opierając się na autentycznych historycznych materiałach z tego okresu, studenckich ulotkach, opisach marcowych wydarzeń we Wrocławiu. To była fascynująca przygoda językowa, w pełni spełniona w chwili gdy „usłyszałam” ten nowy głos Piotra.

Jak współpracowało się pani z tłumaczką?

ES: Doskonale. Przypuszczam, że tłumaczom rzadko zdarza się pracować z autorem, który zna język na tyle, by móc brać udział w procesie redakcji tekstu w takim stopniu, jak to było z nami. Z Katarzyną Bogucką-Krenz, tłumaczką powieści, zgodziłyśmy się już na samym początku pracy, że naszym celem będzie nie tylko wierne oddanie tekstu, ale stworzenie takiego tłumaczenia, które byłoby „moim,” czyli najbardziej zbliżonym do polskiej wersji tej książki, jeśli miałabym taką napisać. Dla tłumaczki oznaczało to rezygnację, oczywiście tylko do pewnego stopnia, z autonomii, konieczność sprawdzania czy nasze językowe odczucia zgadzają się, i stałą gotowość do dyskusji nad tymi fragmentami, w których nasze odczucia gdzieś się rozmijały. Czasami dostawałam stronę, na której tłumaczone fragmenty tekstu pojawiały się w kilku wersjach, a ja miałam wybrać te najbardziej mi odpowiadające. W rezultacie każdy rozdział wędrował kilka

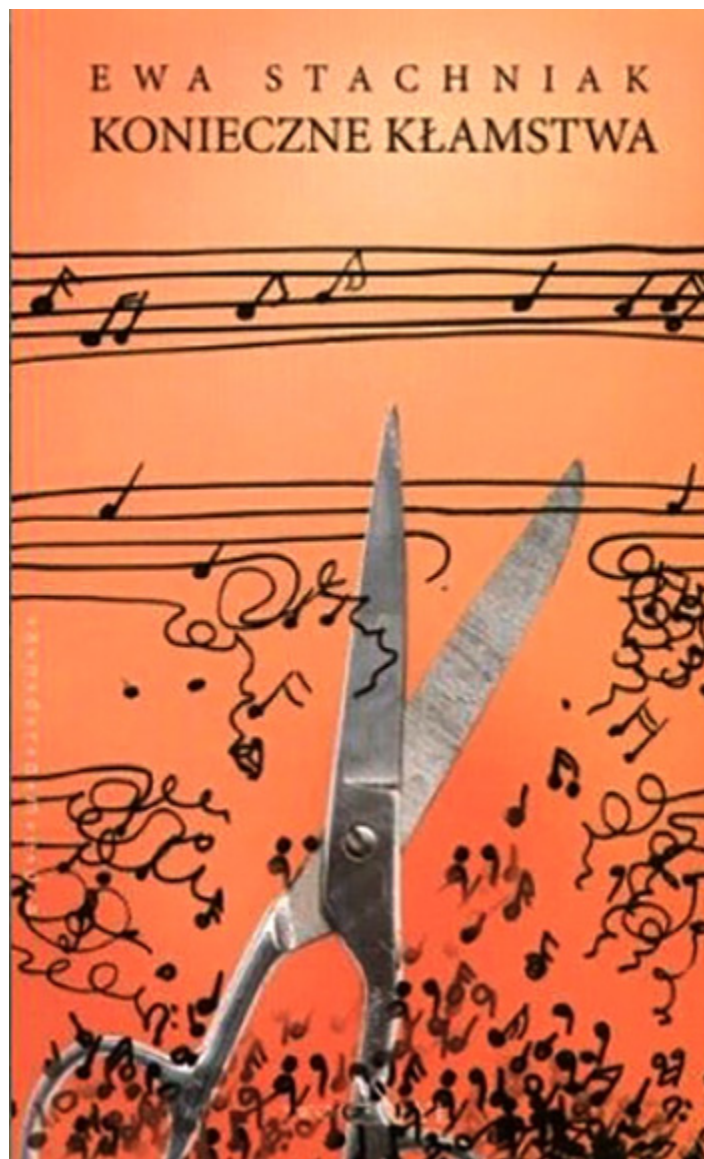
razy między nami tak długo, aż obie byłyśmy zadowolone.

Praca nad tłumaczeniem była dla mnie bardzo ciekawa. Zdałam sobie ponownie sprawę z trudności, jakie napotyka polski tłumacz z języka angielskiego. Jedną z nich jest rytm zdania, jego wewnętrzna poezja. I tak na przykład rytmiczność w języku angielskim można uzyskać stosując powtórzenia słów, sylab, czy wręcz poszczególnych dźwięków. Przykładem może tu być to oto zdanie z pierwszej części mojej książki, opis powojennego Wrocławia: *A sea of ruins, surrounding small islands of still-standing buildings*, którego rytm opiera się na aliteracji. Podobny zabieg w języku polskim może przynieść taki „efekt poetycki” jak zdanie: *polska policja poszukuje pięciu panów...* Tekst poetycki, który po angielsku brzmi rytmicznie i naturalnie, w polskim bezpośrednim tłumaczeniu po prostu kuleje. Powodów może być wiele. Tradycyjna, staroangielska poezja oparta była właśnie na aliteracji, czyli powtórzeniu dźwięków; w polskiej poezji natomiast spoiwem był głównie rym. W rezultacie, aby uzyskać podobny efekt poetycki, który ja w wersji angielskiej uzyskiwałam poprzez powtórzenia, Kasia Krenz musiała uzyskać zupełnie innymi metodami, czerpiąc ze swoich zasobów poetyckich.

Jak pani poznała tłumaczkę, Katarzynę Bogucką-Krenz?

ES: Przez jej siostrę, Ewę Ślaskę, polską pisarkę i tłumaczkę,

która od wielu lat mieszka w Berlinie i aktywnie działa na pograniczu literatury polsko-niemieckiej, organizuje warsztaty literackie, prowadzi pismo „Wir” itd.. Podczas jednego z pobytów w Berlinie, gdzie zbierałam materiały do mojej drugiej powieści, poznałam Ewę. Ona z kolei podarowała egzemplarz *Necessary Lies* swojej siostrze Katarzynie mieszkającej w Gdańsku. Katarzyna Bogucka-Krenz, jest nie tylko tłumaczką z języka angielskiego, jest też poetką i malarką. Poza tym jesteśmy w podobnym wieku, więc łączy nas język naszego pokolenia...



Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”, 2004.

Co pani myśli na temat okładki polskiej wersji powieści?

ES: Bardzo mi się podoba. Jest graficznie prosta, ale bogata w znaczenia. Pocięte nożyczkami nuty sugerują Wiliama i linię melodyczną jego partytur, a także przerwane wątki życia wielu bohaterów książki, cięcie między nowym życiem i starym życiem, między Polską i Kanadą itd. Mogą także sugerować przecięcie spokoju i błogich wspomnień bohaterki, Anny Nowickiej, o

człowieku, który krył w sobie tak bolesne dla niej tajemnice.

Ale książka już skończona, wydana. Teraz werdykt należy tylko i wyłącznie do czytelnika.



Katarzyna Bogucka-Krenz

Czym jest dla pani przekład literacki?

Katarzyna Bogucka-Krenz:

Przez lata wypracowałam sobie własną metodę przekładu, która opiera się na przekonaniu, że sama wiedza nie wystarczy do tego, żeby zostać dobrym tłumaczem literatury. Oczywiście, trzeba mieć warsztat, tj. dobrą znajomość języka obcego oraz spore umiejętności posługiwania się mową ojczystą. Pod tym względem jest to praca niejako „usługowa”. Ale do dobrego tłumaczenia potrzeba jeszcze dwóch rzeczy. Po pierwsze, swego rodzaju pozawerbalnego wyczucia, zdolności niemal telepatycznego porozumienia się z autorem. Będąc przekąźnikiem nie swojej myśli, tłumacz spełnia rolę medium, jest pośrednikiem, który pomaga autorowi zaistnieć w innym języku, sam przez cały czas, jak sufler w teatrze, pozostając w cieniu.

Po drugie, tłumacz lepiej rozumie swoje zadanie, jeśli sam jest pisarzem czy, jak w moim przypadku, poetą. Każdą historię można opowiedzieć na sto sposobów. Tłumacz musi sobie nieustannie zadawać pytanie, nie jak on by ją opowiedział, tylko jak zrobiłby to autor, gdyby znał jego język. Które słowo by wybrał? A przecież autor chce ode mnie nie tylko moich słów. On liczy na to, że w moim języku odtworzę i odwzoruję cały jego świat, wyłowię jego ducha, oddam to „coś”, co często jest trudne do uchwycenia – aurę, emocję, nastrój.

Czasem żartuję, że najlepszą metodą jest tłumaczenie „z zamkniętymi oczami”, gdyż dopiero wówczas potrafię wsłuchać się w głos wewnętrzny tłumaczonego pisarza, oddać to wszystko, co decyduje o jego stylu i sile.

Proszę opowiedzieć o pracy nad tłumaczeniem?

KBK: Do pracy podchodzę zawsze bardzo osobiście i że tak powiem namacalnie: na kilka miesięcy wyprowadzam się z własnego świata i przenoszę do innego. To trochę jak gra w filmie. Jestem ze wszystkimi bohaterami naraz i każdym z osobna. Początkowo nic jeszcze na to nie wskazuje, po prostu tłumaczę słowo za słowem, zdanie po zdaniu. Ciężka, żmudna, czasochłonna praca. Nie zastanawiam się, pędzę przed siebie, mijam kolejne stronicie, jakbym jechała pociągiem, przyglądając się przez okno mijanym obrazom. Na tym etapie jeszcze nie podejmuję decyzji, nie dokonuję wyborów, nawet nie słyszę właściwego tonu. Zostawiam znaki zapytania, zapisuję po kilka wersji, wiem, że na decyzje będzie czas później. Nim jednak to nastąpi, przechodzi czas prób i przymiarek, kiedy wciąż nie do końca jestem pewna, w jaki sposób ja bym się wyraziła w danej sytuacji, gdybym była, na przykład, profesorem literatury, skrzypaczką, rybakiem dalekomorskim czy kelnerką w restauracji, a ściślej: jakbym to wyraziła po polsku, zważywszy na czas i miejsce, wiek, wiedzę i filozofię życiową danej postaci, i co najważniejsze – styl autora. A potem pewnego dnia okazuje

się, że wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. I kiedy czytając przestaję myśleć o słowach, a zaczynam „słyszeć głosy”, wtedy wiem, że to już – mogę tekst odesłać do wydawcy.

Czy tłumacz musi się związać z bohaterami, poznać ich osobowość i odczucia, żeby oddać ducha czasu i miejsca, w którym żyli?

KBK: Chyba nie da się inaczej. Ja w każdym razie nieodmiennie przywiązuję się do moich autorów i ich książek. W końcu przebywam z nimi codziennie po wiele godzin, i to przez długie miesiące. Staję się jakby matką zastępczą, która musi wybrać dla nich odpowiednie słowa, i jeszcze zrobić to tak, by czytelnik nic nie zauważył, by miał wrażenie, że tekst powstał od razu w jego języku. Dlatego czuję o wiele większą odpowiedzialność tłumacząc czyjś tekst niż pisząc własny.

Tak więc odpowiedź na pani pytanie jest nie tylko twierdząca – tak, przywiązuję się i zaprzyjaźniam z bohaterami, a potem trudno mi się z nimi rozstać. Ja powiedziałabym nawet więcej: uważam, że jest to warunek *sine qua non* dobrego tłumaczenia.

Jakie problemy napotkała pani podczas pracy nad książką Ewy Stachniak? Czy tym razem była to trudna praca?

KBK: Każde tłumaczenie niesie z sobą innego rodzaju trudności. Gdy w jednej powieści problem stanowią będą bardzo rozbudowane, wielokrotnie złożone zdania, w innej pułapką może się okazać pozorna prostota. Poza tym jest oczywiste, że tłumacz nie może się znać na wszystkim. Będzie, na przykład, znawcą białej broni, teatru czy roślin tropikalnych, a niewiele będzie wiedział o historii Wrocławia, muzyce czy... pozytywkach (tu wyznaję zasadę, że oprócz lektury fachowej, do której należy się odwołać, trzeba też docierać do ludzi z danej branży i pytać, pytać i jeszcze raz pytać).

W przypadku „Koniecznych kłamstw” największa trudność kryła się w... polskości. Dlaczego? Ponieważ historia opowiedziana w tej książce znana jest polskim czytelnikom z ich własnego doświadczenia. Dla wielu z nich będzie to opowieść o nich samych. Przeżyli wypadki marcowe '68, przeszli represje, przesłuchania, relegowanie z uczelni. Pamiętają Sierpień '80 i stan wojenny, kartki na mięso i oddziały zomowców na ulicy. Wielu doświadczyło rozstania z bliskimi, którzy z różnych powodów zmuszeni byli wyemigrować z Polski. Wielu też w wyniku wojennej zawieruchy zmuszonych było zamieszkać na Ziemiach Odzyskanych, by odtąd w codziennym życiu mieć do czynienia z tak zwaną „sprawą polsko-niemiecką” (co ciekawe, Ewa Stachniak urodziła się we Wrocławiu, a ja w Gdańsku, a więc w miastach, które po wojnie, jak to się kiedyś mówiło, powróciły do macierzy).

Wiadomo, że wokół każdej epoki czy wydarzenia historycznego tworzy się otoczka językowa, na którą składają się nie tylko słowa-informacje, ale też swoiste słowa-klucze, charakterystyczne zwroty, skróty myślowe, idiomy i powiedzonka. Znane wszystkim, zrozumiałe, oczywiste. Powieść Ewy Stachniak obejmuje czas trzech pokoleń. Wspólnie z autorką musiałyśmy ją napisać po polsku w taki sposób, by czytelnicy z każdego pokolenia mogli powiedzieć: tak, tak właśnie było!

Jak przebiegała pani współpraca z autorką?

KBK: Przystępując do pracy nad tłumaczeniem mamy przeważnie do czynienia z sytuacją, w której – paradoksalnie – świat przedstawiony mówi, podczas gdy sam autor milczy. Moim zadaniem jako tłumacza jest domyślić się, czego chce ode mnie pisarz. Tym razem nie musiałam zamykać oczu ani szukać drogi, odwołując się do telepatii. Po raz pierwszy znalazłam się w komfortowej sytuacji: w każdej chwili mogłam zapytać, co autorka chciała powiedzieć pisząc dane zdanie, a następnie, czy to, co ujrzała w moim tłumaczeniu, zgadza się z jej intencją. Można powiedzieć: wymarzone warunki pracy.

A mimo to, choć pewnie trudno w to uwierzyć, w pierwszym odruchu przestraszyłam się! Czego? Tego, że nie będę umiała stać się „głosem” autorki, że nie sprostim jej oczekiwań. Nie usłyszę jej! W praktyce ten bezpośredni kontakt (no, może

pośredni, bo via internet i telefon) okazał się dodatkowym walorem pracy, fascynującą grą intelektualno-detektywistyczną, fantastycznym doświadczeniem.

Początkowo pracowałam sama, co, jak się domyślam, wystawiło autorkę na niemałą próbę cierpliwości. Ale najpierw musiałam zostać sam na sam z jej książką, „poczuć” ją, niczym się nie sugerując. Dopiero potem byłam gotowa do rozmowy. Mogłam dyskutować, spierać się o słowa, próbować dziesięciu wersji jednego zdania, szukając tej właściwej. Trochę to przypominało zabawę w ciepło-zimno: ja wędrowałam przez labirynt, podczas gdy autorka pisała zza oceanu: krok w lewo, dwa kroki w prawo. A wszystko po to, by w ostatecznym rozrachunku to ona mogła zdobyć absolutną pewność, że przemówiłam jej głosem. Mam nadzieję, że tak się stało, że Ewa Stachniak czytając swoją powieść w moim tłumaczeniu, zapomina o mnie, a słyszy – siebie.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym” – dodatku do dziennika „Gazeta” w Toronto w grudniu 2004 r.

Fragment powieści:

<https://www.cultureave.com/konieczne-klamstwa-fragm/>

Recenzja:

<https://www.cultureave.com/miedzy-wiarnoscia-a-zdrada/>

Montrealski wernisaż Janusza Migacza



Janusz Migacz

Katarzyna Szrodt

Janusz Migacz jest malarzem znanym i cenionym w artystycznym środowisku Kanadyjczyków i wśród montrealско-polskich miłośników malarstwa. Jest jednym z nielicznych artystów, którzy utrzymują się ze swojej twórczości, co w przypadku artysty-imigranta jest dużym sukcesem.

Ekspresjonistyczne malarstwo o intensywnych kolorach i grubo kładzonej farbie, jakie Migacz uprawiał w Polsce, w Kanadzie, w

której mieszka od końca lat 80. ewoluowało w stronę abstrakcji figuratywnej o stonowanej, brunatno-światlistej palety. Tajemnicze piękno kobiecego ciała od początku fascynowało artystę, stąd też nie dziwi, że eksplorując ten temat dotarł do świata baletu, który stał się dla niego źródłem niekończącej się inspiracji. Balet: piękno i elegancja ułożenia ciała, ekspresja ruchu, wyraziste gesty różnych pozycji baletowych, delikatność i kruchość ciał baletnic, spódniczki jak skrzydła motyli – to dobrze znany w historii malarstwa temat, któremu z całości poświęcił swoją twórczość Edgar Degas, w dużej mierze Toulouse Lautrec, jak i wielu malarzy, których fascynował taniec. Od chwili, gdy w willi pompejańskiej z I w. n.e. znaleziono mozaikę, na której Trzy Gracje tańczą razem, motyw tańczących kobiet i kręgu tańca, wielokrotnie podejmowany był przez artystów, poprzez Goyę, Rubensa, do słynnego „Tańca” Henri Matisse’a. Janusz Migacz swoim ostatnim obrazem, przedstawiającym taneczny krąg kobiet, dołączył do tej długiej tradycji.



Janusz Migacz

Migacz wychodzi od figury, gestu, studium ciała, ale to barwna plama, abstrakt, pociągają go jako malarza. Stąd sylwetki nie są wiernie oddane, nie należy szukać podobieństwa czy wiernego odwzorowania pozycji baletowych. To plama, kolor, tajniki

malarskich poszukiwań pełnią tu ważniejszą rolę niż model. Emil Zola, przyjaciel i protektor Paula Cezanne'a ujął ten fenomen w słowach: „Malarstwo to kawałek natury widziany przez temperament”.

Żywiołowe obrazy Migacza, jednocześnie sensualne i dynamiczne, balansujące między figuratywnością, a semi abstraktem, zasymilowane zostały przez zakochanych w abstrakcji kanadyjskich krytyków sztuki i kolekcjonerów, czego dowodem jest nie tylko ich sprzedaż, ale również poświęcony Migaczowi rozdział w historii malarstwa kanadyjskiego pióra Roberta Bernier *La Peinture au Quebec Depuis les Annes 60*. (Editions de l'Homme, 2002).

Od wielu lat artysta związany jest z kilkoma galeriami sztuki w dzielnicy Vieux Port w Montrealu, gdzie wielokrotnie wystawiał swoje prace na wystawach indywidualnych i zbiorowych. Ostatni One-Man Show zorganizowała mu Gallery of Contemporary Art w kompleksie St. Ambroise.



Katarzyna Szrodt podczas wernisażu w Montrealu (październik, 2018).



Janusz Migacz podczas wernisażu w Montrealu (październik, 2018)..

Wernisaż jest zawsze świętem sztuki, odrywa ludzi od przyziemnej codzienności, pozwala zachwycić się ulotną chwilą: plamą, kolorem, figurą, tajemnicą talentu podpowiadającego artyście zaskakujące i zachwycające wizje. Przenosi wszystkich tajemniczy krąg wyobraźni, sztuki dla sztuki. Przybyli za wernisaż oglądali obrazy, rozmawiali o nich z malarzem, który pokazał efekt pracy długich dni, miesięcy, lat w samotności, bo jak ujęła to Gertruda Stein, przyjaciółka Picassa i Matisse'a : „Malarz, który chce coś wniesć do sztuki, musi być sam i sam dotrzeć do własnej drogi”. Janusz Migacz odnalazł swoją drogę, nie ulega to wątpliwości.

Stefan Kątski
(1898-1978).

Kanadyjski portret
artysty.



Stefan Kątski, fot. Wikidata.

Katarzyna Szrodt

Prorocze słowa napisał w 1964 roku Stefan Frenkiel, malarz i pisarz, powojenny emigrant osiadły w Londynie:

Za czterdzieści lat będą o nas monografie pisać, prace magisterskie poświęcać i na śmietnikach, na strychach szukać materiałów. Kiedyś historia będzie to społeczeństwo sądzić nie osiągnięciami polityków i żołnierzy, ale na

podstawie sztuki i literatury, które pozostawiło.

I oto szukamy w archiwach, szperamy na strychach i w piwnicach, by odnaleźć ślady polskiej twórczości artystycznej powstałej poza granicami kraju po 1939 roku. Wtedy to, nastąpił koniec pewnego świata, wojenna zamieć zmiotła przedwojenny porządek, rozrzuciła istnienia ludzkie po świecie, a ci, którzy ocaleli, musieli na nowo, w nowym miejscu, w innej kulturze i języku „budować od dymu z komina”, jak ujął to Leopold Staff.

Wśród artystów, których życie i twórczość udało mi się odtworzyć w trakcie badań nad działalnością artystów polskich na emigracji w Kanadzie, szczególne miejsce zajmuje Stefan Kątski – malarz, twórca polichromii kościelnej, specjalista w sztuce kurdybanu, konserwator dzieł sztuki. Wynikło to ze szczęśliwego zachowania się dwóch dużych kolekcji jego prac: w Bibliotece Polskiej w Montrealu znajduje się sześć obrazów, w prywatnej kolekcji rodziny Liebichów osiem. Poza tym, kościół Matki Boskiej Częstochowskiej w Montrealu, jest w całości pokryty polichromią stworzoną przez Kątskiego, a ołtarze główny i boczny zdobione są kurdybanami jego autorstwa, co czyni ten kościół najpiękniejszym wśród polskich kościołów w Kanadzie. Niezwykle rzadko mamy do czynienia z tak dużym, ocalonym dorobkiem artysty fali wojennej, gdyż najczęściej czas zatarł ślady, umierając bezdzietnie, większość malarzy nie miała komu

zostawić swoich prac i archiwów. Smutny to fakt, że wiele archiwów artystycznych wylądowało na śmietniku.

W przypadku Stefana Kątskiego, spotkałam na drodze moich poszukiwań panią Florę Liebich, której rodzice przyjaźnili się z artystą, matka jej ocaliła wiele zdjęć i listów malarza, zaś osiem obrazów, każdy z dedykacją, zdoła do dziś salon w montrealskim domu.



Stefan Kątski przy pracy w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej w Montrealu, fot. Wikimedia Commons.

Stefan Kątski przyjechał do Kanady w 1948 roku, z polecenia rządu londyńskiego, do opieki konserwatorskiej nad Skarbami Wawelskimi, przechowywanymi w czasie wojny w prowincji Quebec. Wykształcony w akademiach sztuki pięknych Krakowa,

Paryża i Florencji, Kątski już przed wojną dał poznać się jako znakomity specjalista - konserwator i twórca polichromii kościelnych. Skromny i małomówny, idealnie nadawał się do misji dyplomatyczno-politycznej, w której najważniejsze było zachowanie w dobrym stanie polskich pamiątek narodowych przechowywanych w podziemiach banku w Ottawie. Przez dziesięć lat Kątski sumiennie i za symboliczną opłatą wypełniał to zadanie. Oprócz tego, artysta podjął się dekoracji kościoła polskiej parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w Montrealu i przez cztery lata tworzył polichromię i kurdybany, zachowane w znakomitym stanie do dziś. Oprócz pracy nad polichromią uczestniczył aktywnie w życiu artystycznym, biorąc udział w wielu wystawach organizowanych przez polskie środowiska artystyczne w Montrealu, Toronto i Ottawie. Jako, że ani malarstwo, ani praca przy konserwacji Skarbów Wawelskich, nie stanowiły wystarczającego źródła dochodu, przez wiele lat artysta pracował jako rysownik w Canadair oraz w podziemiach swego domku prowadził zakład renowacji starych mebli.



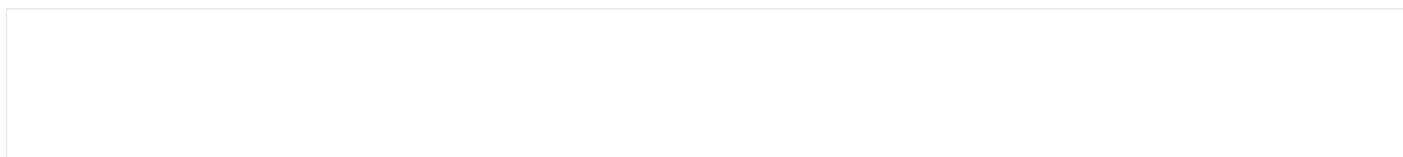
Kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej w Montrealu.

Przez wszystkie, niełatwe lata w Kanadzie, Stefan Kątski nie odszedł od malarstwa. Był postimpresjonistą, uczniem Pankiewicza, Bonnarda, Cezanna. Podziwiając jego martwe natury, pejzaże malowane na plenerach Hiszpanii, pejzaże miejskie, czuje się radość malowania, zabawę kolorem i kształtowaniem płaszczyzny obrazu. Artysta cały czas eksplorował malarstwo, zmieniał się, rozwijał, malował z radością i tą właśnie radość malowania wyczuwa się do dziś w jego obrazach.

W 1976 roku Stefan Kątski wziął udział w dużej wystawie zbiorowej *Polonia of Tomorrow*, zorganizowanej w Toronto z

okazji Światowego Zjazdu Kongresów Polonii. Była to ostatnia wystawa malarza. Zmarł w maju 1978 roku i pochowany został na cmentarzu weteranów wojennych w Point Clair pod Montrealem.

Wszystkie wiadomości na temat życia i twórczości Stefana Kątskiego zreferowałam na zjeździe Związku Rodu Kątskich w Sanoku w 2017 roku. Były to wzruszające chwile zarówno dla licznych przedstawicieli rodziny Kątskich, jak i dla mnie, gdyż mogłam w symboliczny sposób przyczynić się do powrotu artysty w rodzinne strony z długiej emigracyjnej wędrówki.



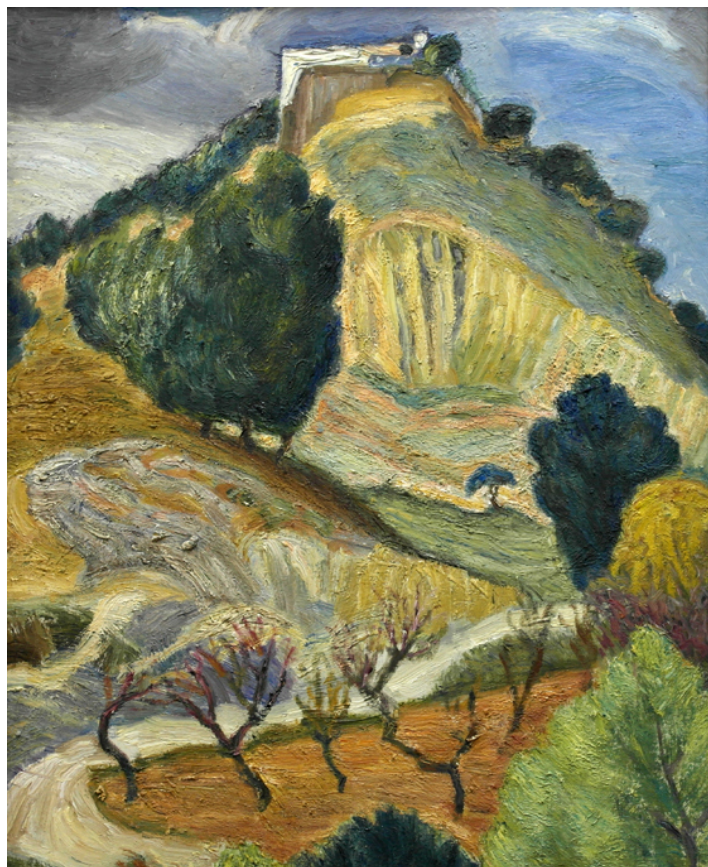
Galeria



Stefan Kątski, Martwa natura, olej na płótnie, kolekcja prywatna pani Flory Liebich.



Stefan Kątski, Martwa natura, olej na płótnie, z kolekcji Polskiego Instytutu Naukowego i Biblioteki im. Wandy Stachiewicz w Montrealu.



Stefan Kątski, Pejzaż z Hiszpanii, olej na płótnie, z kolekcji
Polskiego Instytutu Naukowego i Biblioteki im. Wandy
Stachiewicz w Montrealu.



Stefan Kątski, Martwa natura, olej na płótnie, z kolekcji
Polskiego Instytutu Naukowego i Biblioteki im. Wandy
Stachiewicz w Montrealu.

METEQUE- Atelier d'Art w Montrealu



Atelier Meteque

Katarzyna Szrodt

Brak odpowiednich warunków nie zwalnia artysty od wysiłku tworzenia. Im więcej myślę o emigracji, tym więcej mi się zdaje, że takie zjawisko siły twórczej w pustyni wygnania to najwyższe usprawiedliwienie tułaczki emigracyjnej

– napisał Józef Czapski o misji tworzenia na emigracji. Słowa Czapskiego, który swoim życiem udowodnił, że warto dzielić się płomieniem talentu z innymi w niesprzyjających warunkach

emigracji, przyświecają misji kreatywnego działania w odmiennej kulturze, środowisku, języku. Myślałam o Czapskim, gdy kilka dni temu odwiedziłam nową galerię: **Meteque - Atelier d'Art**, która pojawiła się na kulturalnej mapie Montrealu. Atelier założyła chilijska artystka **Carolina Echeverria** i Polka **Agata Kozanecka**, działaczka społeczna.



Atelier Meteque

Ucieszył mnie ten nowy artystyczny punkt, gdyż od lat nie było w Montrealu galerii z polskim akcentem, a jednocześnie wzbudził podziw, bowiem prywatne galerie upadają z braku nabywców sztuki i potrzebna jest duża determinacja i siła twórcza, by

zbudować środowisko zainteresowane nową galerią. Jak podkreśliły obie właścicielki, nie będzie to galeria w tradycyjnym tego słowa znaczeniu wystawiająca i sprzedająca sztukę, lecz atelier działań twórczych. Wystawy odbywać się będą przy okazji planu atelier, który zakłada różnorodne działania artystyczne, spotkania kreatywne nakierowane na sztukę twórców emigracyjnych i wszystkich osób zainteresowanych działaniami artystycznymi.



Atelier Meteque, sztuka ludowa Indian chilijskich



Atelier Meteque, sztuka ludowa Indian chilijskich

Obecnie Kanada przeznaczają duże środki finansowe na odrodzenie twórczości autochtonów- Indian i Eskimosów i **Atelier Meteque** włącza się w ten profil działań. Sztuka ludowa Indian chilijskich jest mocno akcentowana w twórczości **Caroliny Echeverria**. Symboliczna obecność zwierząt, ptaków, drzew, kwiatów w symbiozie z człowiekiem, nasycone barwy

czerwieni, błękitu, zieleni, pomarańczy i żółci, figuralność i narracyjność, wszystko to przywodzi na myśl sztukę indiańską.



Atelier Meteque, „The Dress of our hopes”.

Projektem, który aktualnie realizowany jest w atelier są „sukienki”- „The Dress of our hopes”: na metalowej osnowie różne osoby zawieszają bliskie im przedmioty odpowiadające profilowi danej „sukienki”: wspomnienie z domu rodzinnego, pokój na świecie, kobiecość, to nazwy tych swoistych „sukienek”. Z fragmentów tkanin, zdjęć, koralików, różnych przedmiotów, zabawek, biżuterii, powstają różnobarwne i wielokulturowe

mozaiki o kształcie manekina.



Atelier Meteque, fot. Katarzyna Szrodt



Atelier Meteque, fot. Katarzyna Szrodt

Atelier Meteque ma wiele projektów na przyszłość, ja zaś dorzuciłam pomysł wystawienia prac polskich artystów plastyków wraz z prezentacją wystawy o polskiej emigracji do Kanady, która przysłana została przez Muzeum Emigracji w Gdyni. Warto czym prędzej wykorzystać nowy punkt w dobrym miejscu, w dzielnicy anglojęzycznej i zaprezentować dorobek montrealskich Polaków oraz ukazać historię polskiej emigracji za chlebem. Emigracja jest przeżyciem trudnym, a emigracja talentu tym bardziej, o czym zbyt mało mówiło się do tej pory. Wystawa w Meteque ma szansę połączyć te dwa zjawiska w całość.

Dla osób zainteresowanych polecam stronę:
www.nativeimmigrant.com